

Tomek Włodarski



CAREO,

czyli na przełaj i w głąb w fotelu bujanym

Tomek Włodarski

Careo,

czyli na przełaj i w głąb
w fotelu bujanym

e-bookowo.pl
wydawnictwo internetowe

[Kup książkę](#)

© Copyright by Tomek Włodarski & e-bookowo
Grafika i projekt okładki: Jakub Miąskowski
Kontakt: qbamech2@tlen.pl

ISBN 978-83-63080-58-7

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2012

My z wczoraj – Nam z jutra

Dziś

- Autor

Gdy wasi przywódcy powiedzą wam: 'to królestwo jest w niebie, wtedy ptaki niebieskie będą pierwsze przed wami'. Gdy powiedzą wam, że ono jest w morzu, wtedy ryby będą pierwsze przed wami. Ale królestwo jest tym, co jest w was i tym, co jest poza wami. Skoro poznacie samych siebie, wtedy będziecie poznani i będziecie wiedzieć, że jesteście synami Ojca żywego. Jeśli zaś nie poznacie siebie, wtedy istniejecie w nędzy i sami jesteście nędzą.

Ewangelia według Tomasza

(...) Musimy umieć rozkoszować się słowem. I jeśli literatura w ogóle ośmiela się mówić, to wcale nie dlatego, że jest pewna swojej prawdy a tylko dlatego, że jest pewna swojej rozkoszy.

Witold Gombrowicz, Dzienniki

Fotel

*Do Wysp Ken z pierwszą bryzą
tej nocy wypływamy.
Mamy to, co Ulisses
– otwarte morze przed nami.*

Dead Can Dance

Płynę, żegluję, dryfuję twoim śladem w moim bujanym fotelu. Już długo prądy i wiatry miotają tę moją prywatną łajbę to tu, to tam, bez śladu choćby piany po tobie. Na tyłku odciski, a morze nie chce udawać – w górę i w dół, w górę i w dół. Ogłupiałem od bałwanów, ogłuchłem od ryku szkwałów, zdrętwiałem porażony ich beznadziejnie, rzekłbyś: bezdennie ślepą wściekłością. Biję wokół, tłukę busolę. Ręce roztrzęsione, dygotanie, krew na dłoniach, a na tyłku już pęcherze. Fotel bujany żali mi się, płacze skrzypieniem swych biegunów, że one oba są północne, a nie chociażby, dajmy na to całonocne lub nawet, a co tam, ćwierćdzienne.

Podę mną kilometry wody, tysiące ton chmur u góry, za mną już lądu nie widać, przed – tylko kipieli i te bałwany, co tłuką łajbę – mój fotel, moją miękką i wygodną dupę. Ach, gdybyśmy byli twardą ścianą, taką szarą i obdrapaną, z grubą warstwą wieloletniego tynku zbijanego co rano rzucanymi przez dzieci kamieniami! Lecz póki co, sam jestem kamieniem. Ścianą byłeś zawsze ty, Samull.

Gdy odszedłeś wpierw chciałem znaleźć cię na powrót wewnętrznie, w świecie wyobraźni, wspomnień i lęków. Jednak podając w wątpliwość wszystko, co było mi drogie, lecz dziecinne, będąc faszerowanym niczym tuczna gęś niezrozumianymi przeze mnie lecz wpajanymi mi, wtłaczanymi we mnie wszystkimi naturalnymi otworami kluskami sceptycyzmu, sarkazmu i ironii oraz pseudonaukowymi i paraduchowymi, pełnymi namaszczenia flaczkami i bitkami rozlicznych analityków, teoretyków i syntetyków, już nigdy nie byłem tak blisko ciebie, może tylko w snach.

Dlatego teraz, za drugim razem, w drugim podejściu postanowiłem poszukać cię na zewnątrz, gdzie odszedłeś, bo znalazłeś jakoby swoją żonę, lub psa, lub skarb piratów, lub i jedno i drugie i trzecie, lub dwa bez jednego, nie ważne które bez którego. Myślałem tak, gdyż, jak sądziłem, tylko wtedy człowiek jest zdolny odejść tak nagle i doskonale, jak ty ode mnie odszedłeś.

Pierwsze, co poczułem w owym czasie, to jeszcze nie był strach, lecz odmienność, inność, niezwykłość, a potem zaraz sztuczność tego czasu, który nastał. Ale nie dziwota, skoro wszystko do tej pory z ciebie i dzięki tobie, przez ciebie i dla ciebie, a również z tego nadmiaru, z przesytu – obok ciebie, pod tobą i kto wie, gdzie jeszcze miało swoje korzenie i odniesienie, czerpało soki i owocowało. Zupełnie jak na lekcji astrologii, gdy wyliniały Papug usilnie tłumaczył teorie wszechświatów równoległych, wydziobując kukurydzą z kaczana. W imię tej teorii, mogę sobie to tylko wyobrazić, hasasz gdzieś po fiordach i oazach lub szepczesz z chichotem w meszek łona smukłych Masajek, że oto cud się ziścił, bo uciekając ode mnie, a raczej od tego, co ci we mnie nie pasowało, jesteś w końcu z siebie zadowolony. Bez trudu rozumienia i pojmowania, bez zbędnych tłumaczeń, bez powtórzeń i przejęzyczeń – w kościach, w trzewiach, w mitochondriach, bez strachu i kłopotów z czasem, z którym zawsze miałeś tyle problemów – uciekłeś z mojej mysiej nory do swojego kosmosu, przez dziurę jakąś, nieistotne: czarną czy w skarpecie. Oto możesz kolonizować do woli, reguły ustanawiać, spełniać zachcianki, bo twój nowy świat, mniejszy acz większy, obcy acz swój, odległy acz podręczny jest wolny od mojej tyranii.

A ja? Tułaczka w ciasnej kajucie do akompaniamentu narzekań starego Papuga, kulawe tango z bujanym fotelem, gorzkie pocałunki z fajką i latarenki przyszpilonych za odwłoki

świetlików, których spazmatycznie wijące się pancerzyki i drgające czułki i konwulsyjnie tykające odnóża są mi jedynym kontrapunktem, jedynym metronomem. U ciebie odwaga i przestrzeń rozrywająca radością płuca, a u mnie strach, jak widmo zawału, albo jak dwutonowy nosorożec na piersi i ja tonący w próżni samego siebie, i czas kurczący się aż do implozji.

Zdawać mi się zaczyna, że, o ile rację miałeś, co do tego, że tylko odejście było jedynym rozsądnym wyjściem z tej sytuacji, zaworem wszelkiego niespełnienia dla zbyt silnego natłoku oparów, zadumań i zakochań, o tyle sytuacja, w której mnie zostawiłeś, to jak otwarcie śluzy do potopu z szamba moich zużyć i obaw. Zbyt wiele drzeń, zastanowień nad własnym bytem, zaprzeczeń á la Watt, które kończyć się muszą nadżerką, jeśli nie umysłu, to na pewno żołądka.

Samull, nie mam do ciebie żalu, bo nie wątpię, że każde takie wsobne zapatrzenie, które cię pchnęło do odejścia, nie ma swego początku, tragicznego, rozpaczliwego, niewątpliwego, w marności naszego dzisiaj, cierpkości naszego wczoraj, w perspektywie wąskiej, wąziutkiej, ciasnej, szarutkiej i tak niepewnej godziny przyszłej. Wiem, że odchodząc, chciałeś mi udowodnić, że odwaga ku temu bierze się nie tylko z oswojenia z samym sobą, ale też ze światem niezmiennym, męcząco przewidywalnym, gdzie morze niezmordowanie zmęczone. Odwaga, która bierze się z szarości dni, które przecież nie pro-

szą o nic, jak tylko o odrobinę tęczy, którą nosisz w kieszeni, o jeden maleńki, maciupenki kroczek, choćby połową stopy, co tam, choćby nawet najmniejszym palcem – byle poza horyzont, jeśli nie naszych możliwości, to chociaż nieboskłonu. A wtedy nieuniknione jest zachłyśnięcie się światem, zadziwienie życiem, aż to zacznie kipieć i buzować i radośnie ulatywać z natężenia życia!

U mnie jednak – zniewolenie zupełne. Pomiędzy wszystkimi starymi pomysłami na wykreowanie siebie, a sobą, jakim się widzę, a sobą, jakim chciałbym się widzieć, a sobą, jakim widzą mnie inni, a sobą, jakim chciałbym, żeby mnie widzieli, aż wreszcie sobą, jakim chciałbym, żebyś ty mnie widział, Samull – wąska ścieżka stromą turnią we mgle, nieogarnięta, nigdy, przez nikogo i nawet przeze mnie, zwłaszcza przeze mnie.

Ach, gdybyż można było zupełnie sobie zaprzeczyć, zapomnieć, wyprzeć się niewygodnych fragmentów, zanegować wstydlive chwile... Nie z próżności, nie, nie dla ludzi, nie, nie z uwagi na tak zwaną opinię, nie. Ale przed sobą i dla siebie i z uwagi na siebie. Lecz póki co, w samym już tylko domyśle, widzę więcej błędów, niż mógłbym uczynić w rzeczywistości. A to tylko, jak mi to nieraz dawałeś do zrozumienia, świat terazniejszy, a nie wieczny. Nie ukrywam jednak, że to dobry początek: dostrzec ów dualizm, tak nieludzko obcy i wrogi człowieczej istocie.

Przekręcam się leniwie na lewy pośladek, fotel skrzypi bur-tami, jak przy nagłym a wielokrotnym przekręceniu koła steru. Wsuwam ręce pod głowę i wlepiam wzrok w wiszące tuż nade mną fotografie kilku obrazów Ewy z Edenu. To jedyna kobieta, której wizerunek posiadałeś, który niemal obsesyjnie kolekcjo-nowałeś szukając Ewy bez pępka. Niestety, ani Brueghel, ani Masaccio, ani Vermeer, ani Bosch, ani nawet Michał Anioł nie ośmielili się zauważyć, że Ewa, jako stworzona a nie zrodzona, powinna nie mieć tej charakterystycznej blizny po matce, bli-zny zwanej pępkiem.

A tymczasem oszpecona Ewa, ta pramacocha naszych żądz, z jabłkiem, owocem jej łona oraz ze swym zabobonnym, gięt-kim i śliskim mężem-wężem Adasiem, paplała ustami twych babek, ciotek, siostr i sąsiadek, w kółko wprost do twojego ucha: nie wyobrażam sobie, jak można nie składać ofiary cało-palnej, jak można nie golić się pod pachami, nie oglądać tele-nowel i nie całować relikwii. I sysała-ciumkała owe relikwie, jak oblizuje się kości ze szpiku i resztek sadła w blasku glorii HD w przerwie reklamowej maszynek do golenia.

A Adaś o twarzy twych dziadów, wujów i kumów, braci mniejszych i prezesów większych, wtórował jej: nie wyobrażam sobie, jak można nie kochać Boga w Trójcy jedynej, Dzieciątka Spiritem przez Ojca krzepionego i jak można nie wyć z za-chwytu na meczu Chelsea, i nie dłubać w nosie podczas siusia-

nia. Po czym strzelał ze swej Trójpalczastej procy do wróbli i biustów Anielic.

I tak od potopu, po top naszych czasów słyszałeś tę mantrę naszych mamin i litanie naszych papciów „nie wyobrażam sobie”:

Nie przyjąć księdza dobrodzieja po kołędzie

– nie wyobrażam sobie

Dawać wszystkim tym żebrakom i cyganom i rumunom

– nie wyobrażam sobie

Poddać w wątpliwość swą niezaprzeczną wiedzę ekspercką na temat zdrowej kuchni, telemarku Małysza, globalnej makro- i mikro-ekonomii, sił geopolitycznych Nadniestrza, chorób cywilizacyjnych i wenerycznych, końca hisotrii Fukujamy oraz drobnych napraw AGD a także IT, samochodowych, hydraulicznych

– nie wyobrażam sobie

Na wiosnę, gdy pędy wszelkie sokami raczą nie odwiedzić panienek w burdelu

– nie wyobrażam sobie

Nie dać składki na tacę, gdy Malinowska patrzy

– nie wyobrażam sobie

Nie szczypnąć Malinowskiej w słodką jej dupinkę, gdy schyla się po różaniec

– nie wyobrażam sobie

Nie pokazać się na wiecu Corpus Dei
– nie wyobrażam sobie
Nie splunąć na widok procesji lesb i pedałów
– nie wyobrażam sobie
Nie ustroić choinki i nie odciąć łba karpiovi
– nie wyobrażam sobie
Nie mieć dreszczu podniety na dźwięk nokturnu Szopena
– nie wyobrażam sobie
Nie salutować fladze w dniu Konstytucji lub 1-go Maja
– nie wyobrażam sobie
Nie pójść na kolanach dookoła Obrazu Cudownego Cudownej Panienki
– nie wyobrażam sobie
Zadać sobie pytanie skąd w białej Polsce czarna Madonna
– nie wyobrażam sobie
Nie jeść czerniny, gdy miękkie żółte kacuszki dorosną jako brzydkie acz tłuste i smaczne kaczątka
– nie wyobrażam sobie
Nie iść do kosmetyczki co miesiąc na wyrwanie brwi i wąsów z nosa tudzież linii bikini
– nie wyobrażam sobie
Nie zbudować domu, nie zasadzić drzewa i nie zasadzić kobicie, co by syn z tego był
– nie wyobrażam sobie
Nie wyobrażać sobie tego wszystkiego

– nie wyobrażam sobie.

Nie wyobrażać sobie tego, co ty sobie nie wyobrażasz – WYOBRAŻAM SOBIE! Właśnie, Samull, tyś takie rzeczy miał pod paznokciem najmniejszego paluszka, na tym polegała różnica, niczym brud, który można było wyskrobać i zapomnieć przy pierwszej lepszej okazji.

Tak, zatem w pierwszej kolejności trzeba ci było (tak jak i mnie zresztą przyjdzie to zrobić), stoczyć walkę z mamką i papką, z boną i zaboboną, z domowymi pieleszami, z rozmęmlaniem i krzyżmem pachnących a to flegmą, to znów kadzi-dłem, prawideł i lewideł, słowem: określić swoją odrębność względem ciała pedagogiczno-wychowawczego twojego pierwotnego kindergardenu. Wyjść z cienia spódnicy i sutanny, fartucha i kaftana wyjść na słońce, w światło nie jako Samull X., ale urodzony i wychowany wśród Iksińskich – odrębny człowiek, który potrafi oddzielić omylne, podatne na pokusy i błędy „mnie” od jasnego i określonego „ja”.

Więc powiedz mi, jak to było? Pomyślałeś sobie, ot, tak, któregoś dnia: „Czas na życie. Trzeba wreszcie przyjąć to ze spokojem. Oto czas na przystąpienie, daleko stąd, nie czas na bieg. Lepiej mądrze postać czasem niż głupio biegać. Trzeba to przyjmując ze spokojem, z godnością i odejść, by przystanąć.” – co, Samull?

Lecz nie mów mi, że się nie bałeś, że i to to nie iluzja, mój jedyny, drogi Samullu... Co nią nie jest? Ty nie jesteś! Twój ból. I mój. I ten świat, jak dwa lustra taflą w taflę, które niby coś pokazują – pokazując nieskończoność.

A jednak cię nie ma, zupełnie, jakbyś znalazł się na linii ognia bezdennych otchłani. Polazłeś. Cóż to za dramat zmusił cię do tego kroku? Cóż za uwłaczający akt męski?! Aby to lepiej zrozumieć muszę przywołać w tym miejscu na moment pewną scenę z twojej młodości:

Początek akcji: dom rodzinny – skąd się wychodzi i gdzie nie zawsze się wraca;

Czas: ten najwyższy;

Osoby: ludzie – *homo ludens* – doprawdy, nieźli z nas jajcarzy;

Miejsce akcji: wnętrze – z którego nie zawsze zdaje się sobie sprawę, a które jedynie się liczy.

OJCIEC:

Rusz dupę! Samo nic się nie załatwi. Jesteś debil patentowany i wiesz, że ta dziewczyna to twoja ostatnia szansa!

(Milknie na moment, opuszcza głowę, mruży oczy zagryzając górną wargę. Dalej z goryczą:)

A wiązałem z tobą takie nadzieje.. Ech, ty poroniony filozofie, Promilanie Onanieszu Eunuchowiczu!

SYN:

Ależ tato... Przecież pozałatwiałem już co trzeba. A co do tamtego, to obiecałeś nie drwić.

OJCIEC: (Wstaje z krzesła z oburzenia. Opiera dwie ręce na stole tak mocno, że aż bieleją palce i zaczyna sapać z wściekłości i z tego wszystkiego przegryza wargę do krwi.)

Ty pomioć! Jak śmiesz tak się do mnie zwracać?!

(Eksploduje furią widoczną, jako ślina i krew. Nagle jednak, ni stąd ni zowąd, przychodzi opamiętanie.)

Tak, przepraszam, miałem nie wspominać. Miałem nie wspominać, że... że mój syn...

SYN: (Z niedowierzaniem:)

Tato...

OJCIEC: (Nie zwracając na niego uwagi:)

...że mój syn zamarzył sobie zostać filozofem. Nie mężczyzną, nie ojcem, nie rybakiem nawet czy kamieniarzem tylko filozofem. Nie, nie mogę przecież sobie z tego żartować! Mój syn, pchi! Filozofem! Panem fi-lo-zo-fem!

SYN: (Widząc, że ojciec nie daruje, rzuca się pod stół, niby to w pogoni za upuszczonym spinaczem do papieru, jednak tak naprawdę zdaje mu się, że zdoła ugryźć ojca w kostkę.)

Kpijcy, kpijcy, tatko. A ja naprawdę też się przejmuję, też się staram, też podchodzę poważnie do życia...

OJCIEC: (Zabierając atakowaną kończynę kopie go drugą nogą po żuchwie i wyje z bólu.)

Au! Widać za mało, za mało... ajajaj!

MATKA: (Ruchem powolnych, niczym Kleopatra w Starym Kinie, rozchyła poły sukni i obnaża swe duże acz o cechach dosychających daktyli piersi.)

Naści, synusiu, mleko, ssij. Naści mężuniu, całuj, śpij.

OJCIEC (Opada ciężko na krzesło i rozmasowuje obolałe odnóże a uwolniony od ciosów syn wypelza spod stołu w ciszy oczekując, co też tatko jeszcze mu powie; aż słyszy, czego nigdy, żadne dziecko nie powinno usłyszeć:)

Weźże się rozejrzyj za jaką robotą. Myślisz, że jak długo będziesz na naszym utrzymaniu, że będę cię karmił całe życie?

SYN: (Podrywa się w jednej chwili na równe nogi; tego już za wiele.)

Nie!

(To "Nie" miało być mocne, buńczuczne, ale z powodu gryzienia a może i złości i strachu, zasycha mu w gardle i mówi to cicho.)

Nie, nie będziesz mnie karmić przez całe życie. Sam się nakarmię. A jak nie to niech chociaż życie nakarmi się mną!

(Ze łzami w oczach odwraca się plecami do ojca i bez słowa idzie ku wyjściu. Ubiera się, wrzuca do plecaka kapcie i konserwę, zapada się na sekundę pomiędzy piersi matczyne, po czym wychodzi z pokoju.)

OJCIEC: (Rzucając się za nim w spóźnionej refleksji)

Stój! Wróć! Synu ach, wróć, ojciec czeka!

(Chcąc gonić za nim otwiera drzwi i z całym impetem wpada na syna, który właściwie nigdzie sobie nie poszedł, tylko przycupnął na progu)

Synu, synku, syneczku kochany, coś ty powiedział?

SYN: (Bez cienia emocji)

Że nie będziesz mnie karmił do końca życia. Że już prędeż nakarmię życie sobą. To powiedziałem. A teraz żegnam, idę w świat i nie wrócę już nigdy. Aż do Gwiazdki. Pokażę papie, że umiem sobie radzić samemu. A kobieta i dziecko i dom wcale nie są mi potrzebne. Do niczego. Prawda, Mamo?

MATKA: (Chowając piersi i zasznurowując suknię:)

Matka była z Ojcem... Ojciec gacha miał... Matka swą gehennę... Synu, zostań sam!

OJCIEC: (Teraz już zupełnie ogłupiały rzuca się Synowi na szyję i łkając rzewnie wciąga go z powrotem do mieszkania.)

Boże, patrzaj matka i pyska stul, patrzcie ludzie, jaki mój syn już dorosły. Nie wiem, sam, doprawdy, nie wiem, kiedyś ty tak wyrósł i spoważniał. Pamiętam cię, jak byłeś taki, o, taki mały...

(Pokazuje drżącą z nerwów ręką, jak małego go spamiętał. Syn stoi nieugięty; zna ojca i zna jego tricki. Wie, że stary oszukuje, że tak naprawdę wcale nie jest mu przykro z jego powodu. Jak już, to tylko użala się nad sobą, albo głupio mu z powodu niejasności wypowiedzi żony, a te łzy zostały mu po niedawnym ugryzieniu. Jednak nie popuszcza)

Zawsze taki mały... a pamiętasz jeszcze, jak siedziałeś mi na kolanach a ja śpiewałem ci o dwóch wiatrach w sadzie... tady-tadydydy, danaż moja dana... A teraz proszę: gryzie swego papcię i ma odwagę sam otworzyć drzwi.....!

SYN: (Zniecierpliwiony)

Tatko, kurwa, proszę cię, nie zalewaj. W nogę cię ukąsiłem, boś sam się o to prosił, boś nigdy nie nauczył mnie, jak bije się prawdziwy mężczyzna. A na kolanach u ciebie? O, pewnie że pamiętam. Udawałem, że jadę na słońcu przez Indie...

(Urywa na moment dla zebrania odpowiednich słów. Ojciec jednak odbiera to jako zamierzoną karę i opada przed Synem na kolana. Syn kończy)

Wyobrażałem sobie, że przemierzam na słońcu Indie, słyszałem świszczący wiatr twojego oddechu, gorący, pachnący wonią głodnych psów Bombaju zjadających wyłysiałe koty, zjadające zaropiałe szczury, zjadające padłe krowy, święte krowy, pasące się na skażonych łąkach, nawadnianych ściekiem Gangesu. Słoń przemierzał góry i dżungle, kołysząc się równomiernie, niezmordowanie, gdy tak równo się poruszałeś na mojej matce, a mnie sadzałeś na szczycie Himalajów z pierzyny każąc słuchać jej postękiwania i posykiwania niczym Pieśni nad Pieśniami Badhadaghwidy. Ale to nieważne. Nie ważne to. Tego jednak, tego, że nie będziesz mnie karmił do końca życia, że nie dbasz o mnie, że masz mnie już gdzieś, tego nie wolno ci było mówić. Nie masz prawa wypominać mi tego, że jestem, skoro mnie zrobiłeś. Nigdy! Nie, tatko, nie dam się przebłagać. Powiedz, jak mogę zrozumieć cię teraz, kiedy wiem, że tylekroć mnie oszukiwałeś wymagając, bym i ja zamienił się w słońca i przyniósł na świat innego odkrywcę Indii, który znów stałby się słońcem dla następnego i kolejnego samotnego podróżnika pierzyn i obcych ud? Odchodzę, to pewne jak zaćmienie.

(Wychodzi trzaskając drzwiami tuż przed nosem Ojca. Ten, jakby nie bardzo rozumiejąc ostatnie minuty i słowa, wstaje z klęczek i, drapiąc się w siwą głowę, szuka wzrokiem jakiejś rzeczy, która podpowiedziała mu, co się właściwie stało.